

Hip-hop w spadku po Wyspiańskim

Kacper Krzeczewski: - Kim jest dla pana Stanisław Wyspiański?

Wojciech „Sokół” Sosnowski: - Przede wszystkim postacią nietuzinkową, wybitną - z powodu wszechstronnego talentu. Rzadko się zdarza, żeby ktoś robił w tak spektakularny sposób wszystko, czego się dotykał.

Jak pan się dowiedział o pokrewieństwie z autorem „Wesela”?

- Trudno mi wskazać jakiś konkretny moment, bo mam wrażenie, że wiedziałem o tym od zawsze. Dorastałem otoczony jego najbardziej znanymi pracami, oczywiście były to reprodukcje, ale mieliśmy też jakieś skromne oryginały w zbiorach domowych. Moja babcia za każdym razem podkreślała, że jest jego wnuczką i często się o tym w rodzinie mówiło.

Które z dzieł prapradziadka najbardziej pan ceni?

- Bliżej mi do jego pastelów niż do dramatów czy poezji, aczkolwiek miałem epizod, w którym pozwoliłem sobie zarapować jeden z jego wierszy „Niech nikt nad grobem mi nie płacze” i uważam, że jest to świetna rzecz. Jestem jednak wzrokowcem i bardzo lubię sztukę wizualną. Dosłownie przed chwilą miałem okazję oglądać te obrazy w Muzeum Narodowym w Warszawie. Zawsze niesamowite wrażenie robił na mnie stosowany przez Wyspiańskiego kolor, sposób, w jaki te pastele były kładzione, rozprowadzane, ta kreska. Kilкома kreskami robił bardzo skomplikowany obraz. To było coś, na co już jako dziecko zwracałem uwagę. Niektóre z tych prac są ponure, inne zaskakują jednym akcentem kolorystycznym. Niektórych wręcz się bałem, na przykład nieprzyjaznych „Chocholów”.

14 grudnia w Domu Aukcyjnym DESA Unicum odbędzie się licytacja obrazu Stanisława Wyspiańskiego „Macierzyństwo”. Zamierza pan wziąć w niej udział?

- Niestety, nie posiadam wystarczających wolnych funduszy, żeby starać się nabyć ten obraz. Oczywiście nad tym ubolewam. Obrazy Stanisława Wyspiańskiego nie należą do tanich (cena wywoławcza to 800 tys. zł - przyp. red.). Moja rodzina jest w posiadaniu niektórych dzieł, ale oddaliśmy je w depozyt do różnych muzeów. Zdecydowanie lepiej dla nich, żeby znajdowały się w muzeach niż u nas w domu.

Jaki wpływ miało pokrewieństwo z Wyspiańskim na kształtowanie pana jako młodego artysty, będącego na początku drogi muzycznej?

- Początek mojej drogi muzycznej (w połowie lat 90. XX w. - przyp. red.) to była zabawa, nie traktowałem siebie jako artysty. Szczerze mówiąc, nie spodziewałem się, że to zabierze tak daleko. Bardzo lubię pisać, słowem bawiłem się właściwie od dziecka i tak naprawdę bardziej czuję się tekściarzem niż artystą. Z drugiej strony ubolewam nad tym, bo całe życie chciałem rysować, projektować, bardzo interesowałem się wzornictwem przemysłowym. Moje życie jednak potoczyło się w innym kierunku i, choć dziś może brzmieć to nieco zabawnie, zostałem raperem.

W czym Wyspiański jest dla pana inspiracją?

- Nie chciałbym się do niego w żaden sposób porównywać. Mam natomiast taką cechę, że nie

potrafiłbym się zajmować jedną rzeczą przez całe życie. Mówię teraz o rzeczach twórczych, bo już w ogóle nie wyobrażam sobie pracy na przykład w fabryce. Jeśli rapuję czy piszę przez dłuższy czas, czuję ogromną chęć, żeby na przykład wyreżyserować teledysk. Czasami montaż klipu czy zaprojektowanie okładki płyty potrafi mnie odstresować i oderwać od codzienności. Lubię to robić, bo jest to jakaś odskocznia. Wyspiański potrzebował ciągle nowych sposobów wyrażania siebie i to jest dość naturalne dla ludzi kreatywnych. Natomiast to, na jakim poziomie on to robił, było absolutnie wyjątkowe.

Pański prapradziadek, jako czołowy artysta młodopolski, był prekursorem awangardy, a pan prawie sto lat później stał się jednym z twórców hip-hopu w naszym kraju. Zalicza pan siebie do kręgu współczesnej awangardy?

- W dzisiejszych czasach awangarda jest pojęciem dość naciągany, ponieważ wiele rzeczy jest przetworzeniem innych, wcześniej istniejących, mimo że często jest to świadoma sztuka. Tu zawsze będzie pojawiał się problem, na ile korzystanie z cudzego dziedzictwa i przetwarzanie go będzie sztuką, a na ile artystycznym cwaniactwem. Jako człowiek, który robi hip-hop i buduje to też na samplach i fragmentach muzyki, którą zrobił ktoś inny, a potem je miesza, jestem takim trochę kuglarzem. Z drugiej strony, jeśli chodzi o teksty, staram się zawsze pisać językiem bardzo prostym. Lubię opisywać życie zwykłych ludzi. Używam języka ulicy. Zawsze fascynował mnie Marek Hłasko, potem Jan Himilbach, czyli postacie, które w prosty sposób wyrażały ciekawe kwestie. Staram się cały czas robić coś, co nie będzie bezpośrednim odbiciem trendów. Wiadomo, że inspirujemy się pewnymi rzeczami, ale próbujemy z nich ulepić coś swojego, myślę że to jest największa wartość w tym wszystkim. Natomiast czy ja tworzę awangardę? Nie zaryzykowałbym takiego stwierdzenia.

Stanisław Wyspiański tworzył sztuki teatralne i teksty poetyckie. Sięga pan do nich w poszukiwaniu inspiracji?

- Raczej nie, nie będę udawał. Natomiast jeżeli coś widzieliśmy i słyszeliśmy od dziecka, to jest to gdzieś w nas i siłą rzeczy przetwarzamy pewne obrazy i słowa. W tym, co z siebie później wypluwamy, są części tego, czym nasiąknęliśmy. Z drugiej strony, chcąc coś napisać, nie sięgam świadomie po „Wesele”, czy inne dramaty lub poezję i nie wertuję ich, ale też nie sięgam po nic innego, nie mam tego w zwyczaju. Gdybym miał się czymś inspirować, to byłyby to pewnie rzeczy mi bliższe, czyli na przykład Hłasko. Nie jest jednak tak, że sięgam po jego książki, pisząc jakiś kawałek, tylko po prostu w trakcie czytania coś mi przychodzi do głowy.

A może szuka pan natchnienia w obrazach?

- Muszę przyznać, że wiele myśli przelatywało mi przez głowę, gdy patrzyłem dzisiaj na obrazy w muzeum. Co ciekawe, było bardzo dużo wspomnień. Te prace towarzyszyły mi w dzieciństwie i teraz stanęły mi przed oczami konkretne sytuacje, o których kompletnie zapomniałem.

Obrazy jako dzieła sztuki nie, ale obrazy społeczne w pańskiej twórczości są jak najbardziej obecne.

- Oczywiście. Tematyka, którą Wyspiański poruszał, różne punkty widzenia różnych warstw społecznych czy środowiskowych, na czym opiera się właściwie całe „Wesele”, to wszystko jest mi bliskie. Lubię obserwować i wyławiać te różnice, te przywary, a później rozbierać to na czynniki pierwsze. Mam jednak dużo mniej miejsca, muszę nagrać to w bardzo skompresowanej formie, bo na tym polega pisanie tekstów hip-hopowych. Gdybym się kiedyś pokusił o jakiś dramat albo chociażby scenariusz, pewnie wyglądałoby to inaczej.

A są jakieś plany napisania książki czy scenariusza?

– Najbliżej jestem tego, aby zacząć pisać scenariusz. Zapewne nie będzie to film pełnometrażowy, ale może etiuda. Mam sporo pomysłów w głowie, wiele rzeczy notuję, zapisuję hasłowo. Kiedy byłem dzieckiem, pisałem dużo opowiadań, które niestety nie zachowały się, ale też pewnie nie były tego warte. W każdym razie lubiłem pisać, pisałem opowieści, wymyślałem bohaterów, którzy mieli zagmatwane losy. Wyobrażałem sobie, że mógłbym zagrać w filmie którąś ze swoich postaci. Jako nastolatek zacząłem się skupiać na krótkich formach. Napisałem tomik, który miał trzy części. Jedna część nazywała się „Ja nihilista”, druga „Ja egoista”, a trzecia „Ja człowiek”. Niestety, to również się nie zachowało. Czy wrócę kiedyś do tego rodzaju pisania i zrobię to wreszcie tak, żeby ktoś mógł to ujrzeć? Nie wiem, myślę że jest to jakaś droga, bo w końcu ile można rapować.

Myśli pan, żeby zamknąć ten rozdział?

– Czasami czuję się... nie tyle staro, ale nie chce mi się już jeździć na koncerty i grać. Oczywiście, jak już wyjdę na scenę, jest fajnie, lubię tę energię od ludzi, ale czy ja jestem typem gwiazdy, która chce świecić i sprzedawać swoje życie? Wydaje mi się, że udowodniłem niejednokrotnie, że nie do końca. Lubię opowiadać historie, wyciągać różne sytuacje i cechy ludzkiego charakteru, rzeczy, których inni tak dokładnie nie widzą. Często są to cechy brudne, może stąd moje zamiłowanie do Hłaski, a ze współczesnych reżyserów do Wojtki Smarzowskiego.

Wspominał pan już o „Niech nikt nad grobem mi nie płacze” z albumu „Poeci”. Ponadto w 2015 roku wspólnie z Hadesem nagrał pan płytę „Różewicz - Interpretacje”. Jakie są szanse na wydanie solowego albumu Wojciecha Sosnowskiego z tekstami Stanisława Wyspiańskiego?

– Jest sporo dzieł Wyspiańskiego, które mogłyby się sprawdzić współcześnie i które można by popularyzować wśród młodych ludzi. Być może to miałyby sens, chociaż – bądźmy szczerzy – tak czy inaczej pewnie byłyby to rzeczy niszowe. Wydawnictwo „Różewicz - Interpretacje” to nie jest coś, co się sprzedaje tak jak inne moje albumy. Ubolewam nad tym, bo Różewicz świetnie władał piórem i szkoda, że młodzi ludzie tego nie doceniają.

Wojciech Sosnowski i Stanisław Wyspiański - podobieństwa i różnice...

– Mamy podobne rysy twarzy. A różnice? Myślę, że on był dużo poważniejszym człowiekiem. Potrafił niesamowicie wykorzystać tak krótkie życie. Obecnie to już nie byłoby możliwe, ponieważ mamy tyle bodźców dookoła, tak szybko płynie czas, odbieramy taki ogrom informacji codziennie, że nie zdążylibyśmy zrobić tylu rzeczy, żyjąc nawet dwa razy dłużej. Wyspiański zrobił mnóstwo ciekawych rzeczy. To ogromne osiągnięcie i myślę, że to także nas różni. On bardzo poważnie traktował swoje życie, a ja mam do tych spraw niestety dość frywolne podejście.

Postrzega pan Wyspiańskiego jako spełnionego człowieka?

– Absolutnie nie. Nie był pokorną osobą. Jako dzieciak wybijał szyby w biblioteczce, żeby czytać po nocy książki, kiedy mu zabraniano. Mógłby nas jeszcze wieloma rzeczami zaskoczyć, być może w dziedzinach, o których nawet jeszcze nie wiemy. Rodzinna opowieść głosi, że skomponował własną ilustrację muzyczną, bodajże do „Wesela”. Tak kreatywni ludzie nigdy nie czują się spełnieni. Ja nie wyobrażam sobie w ogóle spełnienia. Uważam, że człowiek spełniony to człowiek, który się kładzie do trumny na własne życzenie, on już nic ciekawego w życiu nie robi, bo czuje się już na końcu swojej drogi.

Jeśli nie spełnienie, to co dałoby panu satysfakcję?

- Satysfakcję możemy mieć, kiedy czujemy, że robimy coś, co zmienia świat na lepsze, choćby w mikroułamku. Bo czym mamy się cieszyć? Dobrobytem? Oczywiście, że fajniej jest być bogatym niż biednym, że fajniej jest jeździć lepszym samochodem niż gorszym. Jasne, że dobrze jest być człowiekiem wolnym. Im więcej mam poczucia wolności, tym bardziej czuję, że nie zmarnowałem swojego czasu i nie byłem wyłącznie hedonistycznym łajdakiem, którym oczywiście jestem (śmiech). Natomiast jeśli są takie momenty, że robię coś dla innych, kiedy potrafię zmieniać świat chociaż trochę, wtedy czuję się dobrze. Myślę, że dla takich momentów warto żyć.

Nad czym pan teraz pracuje?

- Nad moją solową płytą, zresztą pierwszą w życiu. Nie spieszę się specjalnie. Myślę, że w tym momencie mogę powiedzieć, że mam połowę albumu i tak sobie powoli, co jakiś czas, coś nagrywam. Nie narzucam sobie konkretnej daty, choć oczywiście miło by mi było, gdyby to się wydarzyło w przyszłym roku, może przed wakacjami, ale nie traktuję tego terminu jako wiążącego.

Rozmawiał: Kacper Krzeczewski